

Kronika tygodniowa.

Zanim wywiąże się z danej Szanownym Czytelnikom w poprzedniej kronice obietnicy i poświęcę kilka słów ciepłych przyjęciu powracających do Krakowa uchodźców wojennych, pozwolę sobie przedtem wspomnieć o świętej Barbarze i kłopotach kronikarskich.

Bo i któż ich nie ma? Kronikarz ma osobiste i urzędowe, te ostatnie są daleko przykrzejsze i o nich też będzie mowa.

W dniu 4. grudnia obchodziliśmy uroczystość świętej Barbary, panny i męczenniczki, a ponieważ żyje dziś wielu Wołodyjowskich, mających swe ukochane Basie, hucznie też dzień ten obchodzono tu i ówdzie, zwłaszcza, że od pierwszego niedaleko jeszcze odbiegliśmy, więc też ten i ów ma jeszcze fantazję, czując w kieszeni trochę koron i halerzy. Najgorzej na imieninach wychodzi z zasady każdy Sylwester, święto jego Patrona przypada bowiem w ostatnim dniu miesiąca, kwartału i roku, więc wówczas, kiedy każdy porządny człowiek (z wyjątkiem naturalnie kamieniczników) jest z reguły zupełnie goły.

Święta Barbara ma jednak i inne, nazwijmy je meteorologiczne znaczenie. Uczyły nas babki, matki i ciotki, że „jeżeli Barbara po lodzie, to Boże Narodzenie po wodzie” i odwrotnie.

Te przepowiednie dawniej się podobno z zasady spełniały, teraz przecież, o ile moja pamięć sięga, z dziwną regularnością zawodzą, czemu ja się jednakowoż nie dziwię, gdyż już mędrzec Pański powiedział, że kobietom wierzyć nie należy.

Otóż w bieżącym roku święta Barbara była po wodzie, na ziemi błoto, z góry kapło także, cieszymy się więc nadzieją, że Boże Narodzenie będzie zato po lodzie, o ile tam w górze nie zostaną wydane tymczasem inne dyspozycje.

Czekamy już na zawarcie pokoju, możemy przy tej sposobności poczekać równocześnie i na mróz, a cierpliwości chyba nikomu w tych czasach nie braknie.

Tyle miałem powiedzieć o świętej Barbarze, teraz przechodzę do kronikarskich kłopotów „z urzędu”.

Przedewszystkiem więc, choć delikatnie przymawiałem się w swoim czasie, święty Mikołaj zupełnie o mnie zapomniał, a i Czytelnicy nad moimi słowami przeszli widocznie do porządku dziennego. Prezentu żadnego nie otrzymałem, jeden tylko obiszarnik obiecał mi indyka, ale dopiero, gdy się wypasie, wiem zaś, co znaczy taka obietnica, więc nawet o niej nie myślę.

A tak „roiłem, marzyłem, sny złote goniłem”. Nie dogoniłem ich widocznie, prócz bowiem fasyi do wymiaru podatku osobisto-dochodowego na rok 1915 i nakazu zapłaty zaległego z roku 1914 podatku żadnego innego w tym czasie prezentu nie otrzymałem.

Ha, trudno! — powiedziałem sobie — przecież z tego powodu nie będę sobie życia odbierał, bo ono więcej warte...

Zbliża się zresztą czas świąteczny, a z nim i różne loterye spożywcze na cel dobroczynny, może bodaj teraz uda mi się za tanie pieniądze wygrać jakiego dobrze już skruszałego zajaca, który żywot swój zakończył na uwiad starczy, lub flaszke płynu kwasno-gorzkiego, nie wiem dlaczego nazywanego wineni.

Takim winem przyjmuję zwykle mego gospodarza, gdy po Nowym Roku przychodzi upominać się o zaległy czynsz. Staropolska gościnność nie pozwala mi ograniczyć się na jednym kieliszku, leję więc w niego, co się zmieści, a on pije, bo to nic nie kosztuje. Potem mam długi czas spokój. Każdą taką wizytę odchoruje i narzeka, że nie wie, co mu też mogło zaszkodzić, gdyż on prowadzi tak regularny żywot.

On nie wie, ale ja wiem i dlatego z czystym sumieniem loteryę z takim winem uważam za dobroczynną w całym tego słowa znaczeniu.

Czy jednak, przy tym pechu, wygram co na loteryi spożywczej, to pytanie, które spać mi nie daje. Wsyptałem do łóżka już z pół kilograma proszku perskiego, ale i to nie pomaga, widocznie środki nasenne nie działają w tym wieku.

A ile to kłopotu ma człowiek z Czytelnikami! Niech tylko pokażą się, czy to na ulicy, czy w jakimkolwiek lokalu, znajdzie się zawsze jakiś interpelant, który pyta:

— Panie kochany! Czy to pan o maie pisał w ostatniej kronice?

— Skądże znowu! — ja mu na to. — Ja, jeśli piszę, to tylko tak sobie, ogólnie... Osób nie dotykam nigdy...

— Bo ja myślałem, że to o mnie... Nawet żona mi to mówiła.

— A z czego pan wnosi, że to właśnie o panu?

— No... przecież mam kamienicę, procesuję się z lokatorami, chodzę we futrze i barankowej czapce...

— Panie! Takich jest więcej! Ja sam znam osobiście ze dwie kopy podobnych szczęśliwców.

— A jednak ja jestem pewny, że pan mnie miał na myśli...

Inny znowu widzi się odbitym, jak w zwierciadle, w czym innym i pyta skromnie, czyby przy tej sposobności nie dało się umieścić jego portretu, pod warunkiem przecież, że będzie za to do śmierci otrzymywał całkiem gratis „Nowości Ilustrowane”.

Wywijam się, jak mogę, odpowiadam na wszystkie strony, czasem przecież zabije mi ktoś takiego klina w głowę, że ani rusz dać sobie radę z odpowiedzią.

Ot, niedawno zapytał mnie pewien facetus:

— Drogi panie!... Więc to pan jest autorem tych cudownych kronik?... Jakże się cieszę! A ja byłem pewny, że to pański brat nieboszczyk...

Cóż było na to odpowiedzieć? Nie puściłem ani pary, on pokiwał głową i odszedł, widziałem jednak po jego myślącej twarzy, że rozważał:

— On, czy też jego brat nieboszczyk?...

Albo jak te baby człowiekowi dokuczają! Kilku z nich ubzdurało się, że kronikarz musi być kawalerem, gdyby bowiem był żonaty, nie zdobyłby się na tyle odwagi, by zdradzać publicznie tajemnice domowego życia. Dowiadują się więc z boków, z przodu i z tyłu o mem *curriculum vitae* i nie dają mi w ten sposób spokoju, zwłaszcza, że Weronisia jest ogromnie o mnie zazdrosna, i ilekroć się dowie o czemś podobnym, zaraz mnie podejrzewa, choć w danym wypadku jestem niewinny, jak nowonarodzone dziecko...

Kochane moje Panie! Czyż, gdybym wiódł żywot kawalera, czyli tak zwanego sprośnego samotnika, znalazłbym się tak na tych *arcanach* małżeńskiego żywota?... Musiałbym chyba być czymś przyjaciele domu, a na to mi znów nie pozwala wysoko u mnie rozwinięte poczucie moralności i obowiązku, jakie mam wobec Boga i ludzi. Jeśli się tylko sposobność nadarzy, postaram się o to, by „Nowości Ilustrowane” umieściły portret mój i mej dożgonnej towarzyszkii życia. Chodzi tylko o to, by się sposobność zdarzyła. Srebrne wesele już było, na złote chyba poczekamy.

Proszę mi jednak wierzyć, że jestem żonaty i mógłbym nawet uchodzić za wzór małżonka, dmucham bowiem bez obcej pomocy w ognisko domowe, ile mi sił starczy... I nie zarzekam się wcale, że gdyby tak Weronisia ten padół płaczu przedemną opuściła (daj jej Panie wówczas wieczny spoczynek!), kto wie, czy jeszcze nie kopnąłbym się po raz drugi pod małżeński pantofel, choć jak powiadają, wdowiec, żeniący się po raz drugi, nie jest godzien tego szczęścia, jakie go spotkało, gdy pierwszą swą żonę odprowadzał na Rakowice.

Inny jegomość znowu pisze: „Z własnego życia wnosząc, jestem prawie pewnym, żeś Pan jest kawalerem. Gdybyś był żonaty, jak nie przymierzając ja, nie miałbyś Dobrodzieju tej fantazyi, pisałbyś, co najwyżej, utwory nastrojowe...”

Odpowiedziałem mu mniej więcej w ten desień, że ja temu nie jestem winien, iż mnie matka natura obdarzyła dobrym humorem, co jest zresztą tylko objawem zdrowia i należytego funkcjonowania wszelkich organów wewnętrznych. Można tu mówić także i o dziedziczności, jak bowiem przekonuję się z dokumentów szlacheckich, ś. p. Zagłoba był cioteczynym szwagrem stryjecznej bratowej nieboszczyka wuja mojej ś. p. prababki. Także i moja Weronisia pochodzi z bardzo krotocwilnej rodziny, choć więc siedzę pod jej pantoflem, wcale mi tu wesoło. Zresztą pan fizyk nakazał surowo, że nawet wówczas, gdy nekają cię przeciwności życiowe, nie powinienes tracić fantazyi, bo w przeciwnym razie pójdiesz do ula, jako roznoszający zarazę! Zołądkowców i hipochondryków powinno się tępić tak samo, jak pchły, wszy, pluskwy, myszy i szczury...

Oto garść mych kłopotów „urzędowych”, o domowych nie wspominam... Chyba każdy z Czytelników, który ma rodzinę, wie, ile ich człowiek napotyka, zwłaszcza w tym okresie przedświątecznym. Potrzeba tego i owego, a skąd tu wziąć, gdy w kieszeni, prócz dziury, nic nie znajdziesz?

I to właśnie, według mnie, nazywać się powinno filozofią życia, jeśli kto tym kłopotom nie ulega, ale męźnie się z nimi boryka i stawia im czoło. Takiego zahartowanego męża nie chwyci się ani cholera, ani żaden inny tyfus i dlatego to powiadam, że pan fizyk miał rację, upominając Krako-

wian: „Mimo przeciwności życia, nie upadaj nigdy na duchu”.

Wobec tego i ja też nie upadnę, choć widzę, że na wywiązanie się z obietnicy i opis przybycia i powitania uchodźców miejsca bardzo mało mam do dyspozycji.

A nie smucę się dlatego, iż powrót ewakuowanych powtarza się ciągle. Prawie codziennie przybywają oni mniejszymi i większymi grupkami, czy więc zabiorę głos w tej sprawie dziś, czy za tydzień, zawsze będzie to aktualnem.

Przyznam się nadto, że wolałbym temu tematowi dać spokój, zwłaszcza ze względu na to, iż w grę wchodzi tu kamienicznicy, którzy i tak obrażili się już na mnie na śmierć i życie. Oświadczyli mi niedawno całkiem otwarcie, iż, jeżeli ich nie zostawię w spokoju, na razie nie wynajmie mi żaden mieszkania, a później, choćbym nawet miał i trzy kamienice, nie przyjmą mnie do swego grona.

A jak tu o nich nie wspomnieć, skoro oni właśnie najbardziej się cieszyli z powrotu uchodźców, spodziewając się, że ściągną z nich zaległe czynsze... Jeden z nich chwalił się publicznie, że nie tylko żadnego lokatora dotąd nie zaskarżył, ale owszem z własnej kieszeni dawał im w ciężkich chwilach nawet zapomogi, by z głodu nie pomarli (...dopóki się proces o czynsz z nimi nie skończy... przyp. zecera), ja tam jednak nie bardzo w to wierzę. Właśni koledzy wyrzekliby się go z pewnością i po najdłuższym jego życiu postarali o umieszczenie podobizny tego dziwnego człowieka w Muzeum miejskich osobliwości.

Na dworcu kolejowym, w oznaczonym dniu, zebrało się sporo krakowskich kamieniczników w oczekiwaniu na pociąg, mający nadejść od strony Wiednia.

Gdy nadszedł, a ewakuowani zaczęli się powoli gramolić z wozów, ten i ów zrobił zaraz przegląd, przeważnie jednak pospuszczali nosy na kwintę, gdyż przybyły przeważnie same kobiety i dzieci, mężczyźni bardzo mało, a wszystko taka biedota, że z żadnego czynszu zaległego nie wygnieciesz, choćbyś użył prasy hydraulicznej. Na lokatorów nadają się zaś o tyle, o ile gospodarz zrezygnuje z góry z pobierania czynszu.

No, a taki chyba się nie znajdzie. Myślałem, że bodaj święty Mikołaj przyniesie nam pokój, zawiodłem się. Z pewnem zadowoleniem przecież stwierdzić muszę, iż nie zważając na zimę i przepisy zoologiczne, jaskółki pokojowe pokazują się coraz częściej, zwłaszcza od chwili, gdy królestwo serbskie przestało faktycznie istnieć, a posiłki angielsko-francuskie znalazły się w bardzo przykrem położeniu.

Najważniejsze, że Anglikom zaczyna już dokuć brak monety, bez której wojny prowadzić się nie da. Wnoszę to z telegramów ostatnich, które donoszą, że w Anglii pojawiają się głosy, aby ministrowie zrzekli się dobrowolnie części swych pensji, a posłowie poborów, nadto, aby zabierano robotnikom pewien procent z zarobków i lokowano go w pożyczkę wojennej.

I znów się zastrzegają sfery rządowe, że ma się to stać dobrowolnie, ale dodają zaraz, że gdyby się przypadkiem nie stało, przeprowadzi się to z urzędu.

Rzednie im też powoli mina. Widzę to i u mojego Lorda (stare psisko, już na emeryturze), który stracił zupełnie dawną swą fantazyę i wyje z żalością, ilekroć słyszy odczytywane głośno telegramy o „sukcesach” swych angielskich pobratymców.

Biedne psisko, serdecznie mi go żal.



Oszczędzajcie mydło! Koniecznem będąc napomnienie to nie potrzebuje niepokoić naszych kobiet, albowiem jest przy użyciu Schichta ekstraktu do prania Pochwała gospodyń dana możność, że nie potrzebując troszczyć się o to, iż bielizna sama lub wygląd jej ucierpia, na mydle sporo zaoszczędzą. Niezawodny ten proszek mydlany pomaga przy praniu zaoszczędzać nie tylko mydło, pracę i czas, ale także i pieniądze. Nabyć go można wszędzie.